



Podpory nieba

Tomasz Kopecki



Tomasz Kopeccki

PODPORY NIEBA

Wydawnictwo Psychoskok

Konin 2014

Tomasz Kopecki

"Podpory nieba"

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, 2014

Copyright © by Tomasz Kopecki, 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok

Projekt okładki: Joanna Gawryłowicz-Kostecka

ISBN: 978-83-7900-194-1

Wydawnictwo Psychoskok

ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Świt był coraz bliżej. Czerwień porannej łuny, okrywającej horyzont pastelowym woalem, z każdą chwilą stawała się żywsza i bardziej intensywna. Płachty różu delikatnie barwiły krawędzie postrzępionych cirrusów, wzniecając wesołe ogniki na ich wełnistych splotach, zwiastując rychłe ukazanie się rąbka słonecznej tarczy. Powietrze drgało w takt rozbłysków ognia, usiłując stłumić jego potęgę swoim chłodnym oddechem. Wiatr atakował falami. Wdzierał się pomiędzy rzędy stalowych linek, wygrywając na nich swoją przeciągłą, monotonną serenadę.

Odziany w gruby futrzany kombinezon Martin nieco mocniej zacisnął dłonie na rękojeściach drążka, poprawiając okulary. Raz jeszcze spojrzął z dezaprobatą na gorejący horyzont i siarczyście zaklął pod nosem.

- Będzie lało – burknął. – Najdalej za kilka godzin – dorzucił szeptem.

Kiedy był w powietrzu, często mówił do siebie. Brzmienie własnego głosu pomagało mu osiągnąć stan koncentracji i uspokoić skołatane nerwy, napięte niczym struny. Za to na ziemi zazwyczaj milczał. Słowa nie były mu potrzebne. Mogły tylko pogłębić uczucie smutku i przynieść więcej złych emocji. Ponownie zbadał wzrokiem otaczającą go przestrzeń. Nie ufał spokojowi poranka. W jego sennym bezruchu zazwyczaj czaiła

się śmierć, zniecka tnąca swoją kosą tych, którzy dawali się uwieść podstępny duchom przestworzy. Tylko ci najostrożniejsi wyślizgiwali się z jej kościstych dłoni.

Martin był jednym z nich. Nie ufał pozorom stwarzanym przez naturę. Nie ufał bajecznemu pięknu krajobrazu, ani zapierającemu dech w piersiach słonecznemu spektaklowi. Nie ufał niebu...

Ostrzeżenie ze strony niezawodnej intuicji przyszło, jak zwykle, w porę. Było niczym impuls przesywający całe ciało od stóp do głów, niczym rozkaz mobilizujący umysł do walki, wyzwalający jego ukryte rezerwy, wyostrzający zmysły.

Samolot zakołysał się, smagnięty gwałtownym podmuchem wiatru. Jesień coraz śmieiej okazywała swą dominację nad resztkami ciepła - przemijającymi śladami lata. Zwiastun śmierci wyłonił się z samego jądra czerwonej plamy ognia. Zapewne czynił tak zawsze, polując na pogrążone w porannym letargu, na wpół uśpione, łatwe ofiary. Był prawdziwym mistrzem. Sylwetka Fokkera ani odrobinę nie wychyliła się poza krawędź świetlistej łuny, ginąc w jej jaskrawym wachlarzu. Zapewne był pewien sukcesu, powoli, metodycznie szykując się do ataku, takiego samego jak dziesiątki innych, które doprowadziły do zwycięstw. Tym razem jednak czekał go zawód.

Martin zdecydowanym ruchem przesunął dźwigenkę przepustnicy. Silnik SPADa zakrzusił się i zabulgotał, a potem

warknął donośniej. Niewidzialna, mechaniczna dłoń, zaklęta w ogień i metal, szarpnęła skrzydlatą maszyną. Dziób samolotu uniósł się, kierując wyloty luf karabinów w stronę nadlatującego napastnika. Martin spojrział przez okular celownika. Sylwetka wrogiej maszyny była teraz wyraźna. Rosta błyskawicznie, z każdym ułamkiem sekundy.

Nie czekał dłużej. Zacisnął oba kciuki na językach spustowych. Samolot zadrzał. Obudzone z letargu Vickersy załomotały głucho, wypływając swoją śmiertcionośną zawartość. Smugi pocisków przecięły granat nieba, mknąc w stronę rozbłysku nadchodzącego świtu. Do woni spalonego oleju dołączył ostry zapach prochu. W następnej chwili Martin zrozumiał, że chybił. Przeciwnik przewidział jego ruch. Zwlekał z otwarciem ognia, zapewne dążąc do zmniejszenia dystansu dzielącego go od SPADa. Teraz jednak, widząc rozbłyski luf jego karabinów, błyskawicznie zareagował, wykonując krótki, stromy ślizg.

Martin nie był w stanie wycelować ponownie. Pozycja nie była dogodna, a przeciwnik obserwował go uważnie, gotów zareagować na każdą próbę ataku.

Silnik ponownie zadrzał i zawył donośnie. Śmigło ze skowytym wkręciło się w masy powietrza. Maszyna pomknęła ku postrzępionym, wysokim chmurom, prosto w ognistą otchłań.

Przeciwnik zdążył tymczasem wykonać nawrót.

- Będiesz się ze mną ścigał? – mruknął Martin. Nie usłyszał własnego głosu, ale wypowiedane słowa zawsze

doдаwały mu pewności siebie. Wciąż badał wzrokiem otaczającą go przestrzeń. Niemiec mógł przecież nie być sam... Gdzieś w zdradliwej, świetlistej łunie czaili się być może jego towarzysze. Wojna nie uznawała przestrzegania zasad. Tutaj, w przestworzach, nikt nie kierował się honorem. Honor zabijał. Był niczym nowotwór, unicestwiający tych naiwnych, którzy pozwolili sobie na chwilę słabości. Przeżywali tylko ci, którzy stali się bezwzględni, agresywnymi drapieżnikami. Martin wciąż żył. Wciąż latał i wciąż zabijał, za każdym razem wyłączając część umysłu mieszczącą w sobie ludzkie uczucia... Fokker zadął swój płaski nos i zaczął nabierać wysokości. Niemiec najwyraźniej podejmował pościg, jakkolwiek musiał zdawać sobie sprawę, iż jego maszyna jest nieco wolniejsza od SPADa. Martin chwilowo nie musiał się nim przejmować. Wystarczyło zachować obecnie posiadaną prędkość, by oderwać się od napastnika. Znacznie większe zagrożenie mogło się kryć przed dziobem samolotu. Martin zmrużył oczy, wpatrując się w drgające jęzory światła. Spojrzał za siebie dopiero po upływie dobrych kilkunastu sekund. Ku jego zdumieniu, Fokker znajdował się „na swoim miejscu”. Jego pilot postępował wbrew zasadom prowadzenia walki powietrznej i wbrew zdrowemu rozsądkowi. Utracił atut zaskoczenia. Wiedział, że nie trafił na nowicjusza. Nie dysponował przewagą wysokości, ani prędkości. A jednak

próbował. Otwarcie dążył do konfrontacji, starając się sprowokować przeciwnika.

- Uparty jesteś, Szwabie – stwierdził Martin, raz po raz odwracając się i spoglądając na Fokkera. Wewnętrzny głos stanowczo nakazywał mu trzymać się zasad i nie podejmować zbędnego ryzyka. Napastnik był samotnym łowcą, podobnie jak on sam. Zapewne wyszedł zwycięsko z niejednej potyczki. Był agresywny, nieustępliwy... Opuszczenie pola walki nie byłoby przejawem tchórzostwa, lecz jedynie dowodem rozsądku. Częścią wojennego, powietrznego rzemiosła była również sztuka nie podejmowania zbędnego ryzyka. A jednak... Perspektywa zmierzenia się z tajemniczym porannym duchem była kusząca.

Martin spojrział na manetkę przepustnicy, a potem znowu na podążającego za nim Niemca. Silnik pracował miarowo. Grzmiał głębokim basem, demonstrując jedynie część swojej potęgi. Niemiec nie rezygnował. Wciąż starał się skrócić dystans.

Gdzieś w głębi wojowniczej, zdumionej duszy Martina pojawiła się iskierka sportowej irytacji. Wahał się jeszcze przez chwilę, zdając sobie jednak sprawę, iż niezależna część jego umysłu podjęła już decyzję...

Dłoń w grubej, futrzanej rękawicy, na kilka chwil zawisała nad manetką.

- Jak chcesz, Szwabie! – zawołał Martin, co sił w płucach. – Prosimy do tańca!

Silnik zawarczał donośniej. Dziób SPADa pochylił się ku odległej plamie lasu. Skowytowi linek zawtórował jazgot rozpędzonego ponad miarę śmigła.

Martin ignorował te ostrzeżenia. Czekał cierpliwie, pozwalając maszynie rozpędzać się, coraz bardziej i bardziej... A potem, upewniwszy się, że Niemiec wciąż trzyma się jego pleców, pociągnął sterownicę ku sobie. Przeciążenie wgniotło go w fotel. Na kilka sekund ciemna plama rozlewająca się przed jego oczami, przesłoniła łunę wschodzącego dnia. Różowe niebo zawirowało. Samolot wspinał się ku niemu po niewidzialnej, powietrznej drabinie. Świat stanął na głowie... Kolejny energiczny ruch drążkiem przywrócił mu porządek. Maszyna wykonała połowę szybkiej „beczki” i przechyliła się, wchodząc w ciasny zakręt.

Pilot Fokkera bezbłędnie powtórzył manewr Martina. Białe pola z czarnymi krzyżami, wymalowane na skrzydłach, błysnęły w słonecznych promieniach.

Martin zaklął pod nosem. Fokker był niczym jego własny cień. Siedział mu na ogonie, jak przywiązany niewidzialną liną. Zwrot był ciasny, najciaśniejszy, na jaki stać było SPADa. Ale Fokker był zwrotniejszy. Wychodząc z zakrętu wyraźnie zmniejszył dystans, nie próbował jednak otwierać ognia. Musiał być doświadczonym wojownikiem, prawdziwym

powietrznym „wyjadaczem”, doskonale wiedzącym czego chce i jak zamierza to osiągnąć.

SPAD ponownie wyrwał w górę, wykonując gwałtowny przewrót. Silnik umilkł na kilka chwil. Samolot błyskawicznie wytracił nadmiar prędkości, zadrżał i zwałił się w dół, przez prawe skrzydło. Świat stopniowo zwiększał tempo szaleńczego tańca. Martin uważnie liczył zvitki korkociągu, obserwując widniejące w dole zakole rzeki. Po trzech pełnych obrotach wstrzymał autorotację i nurkując pchnął manetkę gazu.

Ryk silnika, świst linek i łopot drgających skrzydeł zlały się w przeciągłą, powietrzną symfonię. SPAD zadarł nos i pomknął ku przestworzom. Kiedy ziemia zawisła mu nad głową, Martin zmusił swoją maszynę do wykonania kolejnego przewrotu. Strony świata znowu były na swoich miejscach. Fokker również... Znajdował się teraz zupełnie blisko. Każdy inny pilot, znajdujący się na miejscu tajemniczego Niemca, już dawno otworzyłyby ogień. Jego karabiny wciąż jednak milczały. Chciał mieć absolutną pewność, że trafi. Podchodził coraz bliżej i bliżej, wykorzystując przewagę zwrotności, nie oszczędzając silnika, spokojnie i konsekwentnie.

Martin nie miał czasu na zastanawianie się nad przyczyną cudu, który pozwolił wrogiej maszynie utrzymać się za jego plecami. Był zdumiony, wręcz zszokowany. Odruchowo zacieśnił zakręt i oddał drążek, rozpędzając samolot. W nurkowaniu SPAD był szybszy. Jego skrzydła o cienkim,

ptasim profilu stawiały niewielki opór. Fokker musiał pozostać nieco w tyle.

Niemiec wciąż nie otwierał ognia. Cierpliwie i nieustępliwie podążał za swoim celem, nie starając się wykonywać żadnych spektakularnych manewrów. Być może wysiłki przeciwnika nieco go nawet bawiły.

Oddalwszy się nieco od przeciwnika, Martin wyrównał lot, redukując obroty śmigła. Miał teraz kilka krótkich chwil na obmyślenie planu wydostania się z opresji. Błyskawicznie przeanalizował dziesiątki wariantów rozwoju sytuacji. W jego głowie jedna po drugiej rozgrywały się powietrzne walki pomiędzy SPADem i Fokkerem. Martin wyraźnie dostrzegał sylwetki obu maszyn, wykonujących kolejne manewry. Jednocześnie usiłował wyobrazić sobie napastnika, jego twarz, włosy, głos, uśmiech.... Robił tak za każdym razem. Nie umiał, jak inni, myśleć o swoich przeciwnikach, jak o częściach strącanych z nieba maszyn. Dla niego ta wojna nie była bezosobowa. Każdej nocy w jego podświadomości paradował kondukt zakrwawionych postaci, bez zębów i oczu.... Pochód tych, którzy odeszli rozszarpani pociskami z jego karabinów. W tamtym świecie nie było zwycięzców, ani orderów. Byli za to ci, którym odebrał wszystko, co posiadali.

Nie chciał zabijać. Ale jeszcze bardziej nie chciał dołączyć do tego ponurego pochodu. Przyjmował więc z pokorą uznanie dowódców i kolejne odznaczenia. Godził się być bohaterem,

biernie poddając się strumieniowi zdarzeń, usiłując przeżyć i nie postradać zmysłów.

Myślał gorączkowo, spoglądając na przesuwaną się pod skrzydłami szachownicę pól. Zwlekał z podjęciem walki, odcinając się od rzeczywistości niewidzialnym parawanem. Kiedy rąbek słonecznej tarczy rozświetlił horyzont, Niemiec znajdował się znowu tuż za jego plecami. Tym razem jednak Martin wiedział już, co robić dalej. Miał w głowie gotowy plan. Raz jeszcze zmusił silnik do wysiłku, oddając nieco drążek. Nie wprowadzał samolotu w nurkowanie. Wytracał wysokość powoli, kontrolując przyrost prędkości, odczuwając całym ciałem każde drgnienie płatownca. Mknął przed siebie, czując wiatr pod skrzydłami, wsłuchując się w skowyt linek.

A kiedy ziemia była już bardzo blisko, kiedy wierzchołki drzew niemal sięgały goleni podwozia... przeciwnik nagle zaatakował. Pociski zasyczały złowieszczo, potrząsając maszyną. W pokryciu lewego dolnego skrzydła pojawił się rząd przestrzelin.

Martin nie czekał dłużej. Ściągnął na siebie sterownicę, zadzierając nos myśliwca, gwałtownie i zdecydowanie. Maszyna, niczym rasowy rumak, stanęła dęba w powietrzu, wznosząc się ku niebu, a potem, wytraciwszy nadmiar prędkości, na krótką chwilę zawisła w bezruchu. Nim jednak zaczęła opadać, Martin oddał drążek, wydobywając z silnika całą ukrytą w nim moc. Był jednym z niewielu w 94

dywizjonie, którym udało się opanować ten manewr. Bawił się nim wiele razy, poznając do głębi naturę żywiołu i duszę swojej maszyny. Udawało mu się zmusić SPADa do posłuszeństwa niemal za każdym razem. Niemal....

Samolot drżał i jęczał, niczym ranione zwierzę, zmuszane do wysiłku ponad miarę. Zapadał się w powietrzną pustkę nie poddając się jej, walcząc dzielnie o każdy kolejny centymetr pokonywanej przestrzeni. Zrazu wydawało się, że przegra, że ulegnie bezdusznej grawitacji, spadnie niczym kamień i znajdzie swój kres wśród rudziejących drzew.

Maska myśliwca dygotała, zwolna zwracając się ku ziemi. Ryk silnika stopniowo zmieniał swój ton, a po chwili... Martin wiedział już, że zwyciężył.

Wystarczył krótki, nikły impuls, niewielka zmiana oporu drążka, subtelna nuta wyłowiona z wszechobecnego hałasu.... Wydarzenia zaczęły rozgrywać się zgodnie z obmyślonym planem.

Ciemna sylwetka Fokkera przemknęła tuż ponad głową Martina. SPAD drżał jeszcze przez kilka chwil, stopniowo nabierając prędkości. Niemiec natychmiast przechylił swoją maszynę, inicjując zakręt, było już jednak za późno na ucieczkę.

Martin odetchnął z ulgą, obserwując Fokkera rosnącego w okularze celownika. Potem, wzięwszy niewielką poprawkę, nacisnął obie dźwigenki spustowe. Karabiny zaterkotały

głucho. Pociski zajęczały, mknąc bezlitośnie w stronę celu. Samolot Niemca zakołysał się i zadymił. Zadrżał i wykonał stromy ślizg. Martin przemknął ponad swoją ofiarą, natychmiast wprowadzając maszynę w ostry zakręt. Odruchowo zbadał wzrokiem otaczającą go przestrzeń. Dopiero kiedy upewnił się, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, skierował spojrzenie w stronę zestrzelonego Niemca.

Zdziwił się i uśmiechnął, obserwując rannego Fokkera toczącego się po łące.

- Spryciarz - mruknął, kiwając głową z uznaniem. - Gdybyśmy byli po naszej stronie frontu, byłbyś już mój. A tymczasem wybacz, drogi szkopie - dodał, obserwując Niemca odzianego w długi, skórzany, lotniczy płaszcz, gramolącego się z kokpitu maszyny. - Wybacz, ale muszę cię już pożegnać.

Przelatując ponad głową niemieckiego lotnika, pozdrowił go, kiwając skrzydłami.

- Żegnaj! - zawołał, machając do niego dłońią. - Obyśmy się już nigdy więcej nie spotkali!

Jesienny wiatr dmuchnął nieco energiczniej, demonstrując swoją potęgę. Rozpoczynał się kolejny listopadowy dzień.

Rittmeister Johan Kruger był wyczerpany i wściekły. Urażona duma stanowiła źródło bólu znacznie dotkliwszego niż ten spowodowany dziurą w ramieniu po kuli przeciwnika.

Łzy goryczy napłynęły mu do oczu, kiedy spoglądał na przelatujący ponad głową samolot zwycięzcy. Odruchowo przyjrzał się godłu wymalowanemu na burcie SPADa. Znał je doskonale. Widok charakterystycznego cylindra otoczonego czerwonym pierścieniem sprawił, że Kruger poczuł pewną ulgę. Amerykanin z 94 dywizjonu pościgowego z pewnością nie był byle kim.... Po chwili jednak gorycz porażki dała o sobie znać ze zdwojoną siłą. Kruger przez długą chwilę stał obok swojej dymiącej maszyny, obserwując coraz większą czerwoną plamę wykwitającą na lewym rękawie lotniczego płaszcza. Złość i uczucie bezradności walczyło w nim z rozsądkiem, z trudem wysyłającym nieśmiałe sygnały zza niewidzialnej barykady. W końcu Kruger sięgnął do kieszeni po chustkę, z której pośpiesznie sporządził prowizoryczną opaskę. Na drżących nogach ruszył w stronę widniejącej w oddali kościelnej wieży.

Zgniłozielony dywan jesiennej łąki nasiąknięty był wilgocią. Zapadał się pod stopami, utrudniając marsz. Za łąką był wiśniowy sad. Karłowate, zaniedbane, pozbawione liści drzewa przypominały szkielety baśniowych stworów. One również były ofiarami wojny. Przetaczająca się ponad Europą zawierucha nie oszczędzała nikogo i niczego....

Wkrótce Kruger wkroczył na bity trakt, a następnie na prowadzącą do miasteczka drogę, wybrukowaną „kocimi łbami”.

Pomoc pojawiła się rychlej niż oczekiwał. Rozklekotana, wojskowa ciężarówka, która ni stąd ni zowąd wyłoniła się zza pobliskiego zakrętu, od razu zazgrzytała hamulcami i zatrzymała się obok niego. Z szoferki wyskoczył wysoki żołnierz, odziany w brudny podoficerski szynel.

- Sierżant Falke, z artylerii – zameldował, stając na baczność. – Mam rozkaz udzielić pomocy zestrzelonemu lotnikowi. Czy to może... - jego spojrzenie padło najpierw na zakrwawioną rękę Krugera, a potem na jego nakrycie głowy. – Jest pan ranny – zauważył.

Kruger wzruszył ramionami.

- Nic nie ujdzie pańskiej uwadze, sierżancie – mruknął. – Niech mnie pan odwiezie do mojej jasty. To niedaleko. Będę wskazywał drogę.

Sierżant ponownie skupił niepewne spojrzenie na krwawiącym ranie.

- No, rusz się, człowieku! – ponaglił go Kruger. – Jedziemy, szkoda czasu! To rozkaz! – dodał pośpiesznie.

Sierżant wyprężył się, strzelając obcasami.

Droga była nierówna, a samochód, którym podróżowali, bardzo bliski technicznej śmierci. Podskakiwał, drżał, zgrzytał i jęczał, jak gdyby za chwilę miał rozpaść się na tysiące

stalowych kawałków. Siedzący za kierownicą, podrygujący sierżant Falke w ogóle się tym nie przejmował. Był niczym manekin.

Za to Kruger czuł, że siły coraz bardziej go opuszczają. Zaciskał zęby, usiłując nie popaść omdlenie.

Wstęga drogi powoli, lecz konsekwentnie znikła pod maską ciężarówki. Za oknami przemykały sylwetki drzew, słupów, domów.... Minęła prawie godzina nim dotarli do lotniska. Na skraju pola wzlotów wznosiły się toporne cielska drewnianych hangarów. Towarzyszył im budynek kantyny, o równie niewyszukanej architektonicznej formie. Nieco dalej rozciągał się plac usiany białymi stogami brezentowych namiotów, a za nim, na skraju łąki, rozciągały się rzędy przypominających klocki mieszkalnych baraków.

- Dziękuję, sierżancie – rzucił na pożegnanie Kruger, opuszczając szoferkę. Nogi drżały mu nadal, a świat raz po raz tracił swoją stabilność i kołysał mu się przed oczami. Mimo tego, na przekór swojej słabości, zerwał się do biegu. Przystanął dopiero na progu hangaru.

Kapral Weller był tam, gdzie zazwyczaj. Siedział na skrzyni narzędziowej, tocząc ożywioną dysputę z innymi mechanikami. Na widok Krugera, wszyscy zerwali się na równe nogi. Wpatrywali się w niego ze zdumieniem i przerażeniem, jak gdyby obserwowali zjawę.

- Herr Rittmeister... - zaczął nieśmiało Weller. - Co się stało?

- Nie pytaj - odrzekł Kruger. - Szykuj samolot. Słyszysz?! Przygotuj mi samolot! Weź maszynę Rutthoffa, on jeszcze dobrą chwilę poleży w szpitalu! Zatankuj i załaduj amunicję!

- Herr Rittmeister...

- Nie gadaj! Bierz się do roboty!

- Herr Rittmeister, gdzie pan nie poleciał! - głos Wellera stał się bardziej donośny. - Już nie.

Kruger zamarł w bezruchu, spoglądając na mechanika z niedowierzaniem.

- Co to ma znaczyć?! - warknął. - Wydałem ci rozkaz! Wykonać!

- Nie mogę - stwierdził ze spokojem Weller. - Herr Rittmeister.... Przed godziną dostaliśmy informację. Wojna się skończyła! Wszyscy wracamy do domu!

Kruger zamilkł. Przez jego ciało gwałtownie przetoczyła się fala gorąca, która następnie ustąpiła miejsca lodowatemu chładowi. Stał tak jeszcze przez chwilę, sparaliżowany zdumieniem, wściekłością i bezradnością.

- Przygotuj mi samolot - wyszeptał, czując narastającą słabość. Zaraz potem osunął się na ziemię. Świat zawirował mu w oczach i pogрузzył się w nieprzeniknionej ciemności.

* * *

Notariusz Allan Brown był starzejącym się, niskim, otyłym mężczyzną, o odpychającej powierzchowności. Jego pucułowata twarz świeciła od tłustego potu, podobnie jak pozbawiony owłosienia, otoczony wianuszkami siwizny czubek głowy. Kaprawe oczka, skryte za grubymi szklami drucianych okularów, łypały raz po raz, to na rozmówców, to na leżącą na blacie biurka kartkę papieru. Oddech prawnika był ciężki i świszczący.

- Ja, Henry Forrester, pozostając w pełni władz umysłowych... - mruzczał Brown, - w razie mojej śmierci...

Cassie poprawiła się na swoim krześle, dyskretnie spoglądając na siedzącego obok Neda. Na twarzy mężczyzny malował się wyraz nieskrywanego napięcia. Dziewczyna z dezaprobatą pokręciła głową, przenosząc spojrzenie na czubki swoich butów. Spoglądanie na notariusza było ponad jej siły. Grubas wydawał się jej prawdziwym uosobieniem brzydoty.

- Pięć procent udziału w dochodach mojego przedsiębiorstwa „Forrester and Company” zapisuję mojemu młodszemu bratu, Nedowi Forresterowi – kontynuował Brown. – Pozostałych dziewięćdziesiąt pięć procent zapisuję mojej córce, Cassandrze Forrester, która zyska prawo zarządzania przedsiębiorstwem po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia. Do tego czasu zarząd nad firmą

powierzam mojemu bratu, Nedowi, którego zobowiązuję do opieki nad moją córką i zapewnienia jej odpowiedniego wykształcenia. Oprócz tego zapisuję mojej córce Cassandrze sto dwadzieścia tysięcy dolarów z złocie, stanowiące mój osobisty majątek oraz dom znajdujący się przy ulicy Pinestreet w Somerville. Akt własności domu i wszelkie do niego prawa zostaną przekazane mojej córce po ukończeniu przez nią dwudziestego pierwszego roku życia. Do tego dnia opiekę nad domem sprawował będzie mój brat Ned, któremu zapisuję dodatkowo moje mieszkanie w centrum Bostonu.

Oblicze Neda przechodziło pośpieszną, gruntowną metamorfozę. Przez chwilę gościł na nim wyraz zdumienia, zrazu nieznacznego, pogłębiającego się jednak i stopniowo zmieniającego się w osłupienie. Potem pojawił się żal. Wargi mężczyzny drżały, wyginając się w łuk, jak gdyby ich właściciel zamierzał wybuchnąć płaczem. Nim jednak zdążył to uczynić, do głosu doszedł gniew. Ned był wściekły i rozczarowany.

Cassie uśmiechnęła się do siebie.

- Palant – wyszeptwała bezgłośnie. – Nadęty, chciwy, zakochany w sobie palant.

- I to wszystko? – zawołał Ned, podrywając się z krzesła.

- Jest jeszcze kilka szczegółowych zapisów, w dokumencie uzupełniającym właściwy testament – odparł Brown. – Na przykład, aneks nakazujący panu Nedowi

Forresterowi wypłacanie comiesięcznego kieszonkowego pannie Cassandrze... Dokument jest do państwa wglądu. I to wszystko. – Brown wydobyl z kieszeni ogromną białą chustkę, którą następnie z namaszczeniem przyłożył sobie do czoła.

- Panna Cassandra – burknął Ned, z nienawiścią spoglądając na dziewczynę. – Zajmę się panną Cassandrą, jak sobie zyczyl mój braciszek. Zajmę się nią dobrze....

- Mam nadzieję – burknął notariusz. – W przeciwnym wypadku miałbym podstawę do unieważnienia części testamentu dotyczącej przekazania panu pięciu procent firmy oraz tymczasowego zarządu nad nią. Proszę o tym pamiętać.

- O tak, będę pamiętał.... Idziemy, p a n n o Cassandro. Nic tu po nas.

Cassie nie mogła sobie odmówić kolejnego, jadowitego uśmiechu, który oczywiście nie uszedł uwadze stryja.

- Poczekaj tylko, mała żmijo – rzucił półgębkiem. – Już niedługo przestanie ci być do śmiechu. Już niedługo...

- Nie strasz, nie strasz, bo się z... - głos Cassie przeszedł w chichot. – Dwadzieścia jeden lat – dodała, poważniejąc. – To już za cztery lata, drogi stryju. Już za cztery lata! I to niecałe!

- Dla ciebie... dopiero za cztery lata! – mruknął Ned, władczo zaciskając dłoń na ramieniu dziewczyny. - Patrz pod nogi! – dorzucił, kierując się w stronę znajdującej się na końcu długiego korytarza klatki schodowej. – Co ci po tej fortunie, kiedy połamiesz kulasy?

- Moje kulasy, mój problem! – odgryzła się Cassie, oswobadzając ramię. Zbiegła na dół, przeskakując po kilka schodów, nie dotykając poręczy. Zeskakując na półpiętra, lądowała miękko, z kocią gracją. Ostatni rząd stopni pokonała długim, efektownym skokiem, wykonując w powietrzu piruet. Nie czuła respektu przed rozciągającą się przed nią przestrzenią. Nie bała się wysokości. Perfekcyjnie panowała nad swoim gibkim, sprężystym, wygimnastykowanym ciałem. Jednocześnie nie zapomniała o jego niedoskonałościach, nieśmiało marząc o pokonaniu więzów bezlitosnej grawitacji, o wyzwoleniu się z ich bezdusznego uścisku, by pewnego dnia wzlecieć wysoko w przestworza i pomknąć w dowolnie obranym kierunku, nie zważając na ustalony porządek stron świata. Wielka, nieskończona przestrzeń powracała do niej w snach, kusząc swoim nieskończonym pięknem i potęgą....

Cassie westchnęła z żalem, napierając na ciężkie, dębowe skrzydło wejściowych drzwi.

Chłód i cisza, zamknięte w kamiennych murach budynku, gwałtownie ustąpiły miejsca porannemu gwarowi bostońskiej ulicy. Ostra woń samochodowych spalin, zmieszana z rozproszonym fetorem końskiego nawozu i rozkładających się zwłok, wdarła się w nozdrza dziewczyny, skwapliwie towarzysząc bezładnej dysharmonii dźwięków. Cassie pośpiesznie nasunęła na twarz maseczkę z gazy. Postępowała zgodnie z zaleceniem władz miasta, chociaż nie wierzyła

w skuteczność tego rodzaju zabezpieczeń. Niewidzialna śmierć, unosząca się w powietrzu, dosięgała wszystkich, których sobie wybrała. Nie było przed nią ucieczki. Zabijała nawet tych najsilniejszych. Zdrowi, amerykańscy chłopcy, powracający wielkimi statkami z Europy, umierali tysiącami, wymiotując własną krwią, dusząc się i siniejąc. Grypa „hiszpanka” zbierała straszliwe żniwo na całym świecie. Nie oszczędziła również Harry’ego Forrestera. Pewnego dnia wszedł do domu, pokaszując. Kilka godzin później leżał przykuty do łóżka, ledwo mówiąc i poruszając rękami. Trzy dni później zmarł. Jak miliony innych. Makabryczna, głupia, bezgranicznie okrutna wojna, kosząca zastępy skazańców wybiegających z okopów pod lufy karabinów maszynowych, była niczym wobec niewidzialnego, podstępnego potwora....

Cassie zacisnęła powieki, powstrzymując napływające do oczu łzy, starając się wyrzucić z głowy powracający wizerunek konającego ojca. Zadrżała, owijając się płaszczem. Jesienny chłód stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Słabe, listopadowe słońce rozpaczliwie bombardowało wiązkami promieni szare czapy chmur, bezskutecznie usiłując rozproszyć ich wilgotne cielska. Powietrze w centrum miasta było niczym lodowata, lepka zawiesina, przesycona wonią gnijących, ludzkich ciał, piętrzących się w prowizorycznych składowiskach. Miejskie służby nie nadążały z kopaniem grobów i produkcją trumien. Koszmarny smród opanował całą metropolię. Niekiedy tylko

od strony Zatoki Bostońskiej docierały nieśmiałe poddmuchy morskiej bryzy.

Cassie oparła się o mur kamienicy, walcząc z uczuciem żalu i osamotnienia. Świadomość, iż nie ma już na świecie nikogo, komu mogłaby zaufać, pogrążała ją w rozpacz, z którą toczyła bezustanną, heroiczną walkę. Nie poddawała się. I wierzyła, że w końcu zwycięży. Harry Forrester z całą pewnością życzyłby sobie tego.

Odrzucając przygnębiające myśli, utkwiała wzrok w kłębiącym się na ulicy tłumie. Ostry dzwonek przejeżdżającego obok tramwaju nie był w stanie zagłuszyć łomotu zatrzaskiwanych drzwi.

Ned był zdyszany i wściekły. Rozejrzał się, poszukując spojrzeniem niesfornej zguby.

- Gówniara! - warknął, zaciskając pięści. - Nieokrzesany szczeniak! Mogłaś złamać kark!

- A co... - prychnęła Cassie. - Boisz się, że coś mi się stanie zanim zdążę skończyć dwadzieścia jeden lat? To byłoby, w rzeczy samej, fatalne w skutkach, drogi stryju - roześmiała się, spoglądając z niesmakiem na pokryte purpurą oblicze Neda. - To by oznaczało, że nie byłeś w stanie otoczyć mnie odpowiednią opieką, zapewnić mi odpowiedniego wykształcenia, i tak dalej. Wtedy pewnie nie dostałbyś nawet tych pięciu procent. A zawsze to lepsze niż nic, nieprawdaż?

Ned zadrzał, z wyraźnym wysiłkiem tłumiąc napad wściekłości.

- Już ja cię otoczę opieką – zasyczał po chwili. – Nawet sobie nie wyobrażasz jak troskliwie potrafię się opiekować złośliwymi bachorami. I zapewnię ci odpowiednie wykształcenie. Znajdę ci najlepszą szkołę, mała żmijo. A teraz, marsz do samochodu!

Cassie pogardliwie wyduła wargi, po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę błyszczących limuzyn, ustawionych w równym rzędzie na skraju zatłoczonej ulicy.

Słońce po raz kolejny kapitulowało w walce z jesiennym mrokiem. Rozciągający się nieopodal, upstrzony reklamami Scollay Square pogrążał się w głębokim cieniu. Zima nadciągała wielkimi krokami.